**Opis pożaru z 1575 roku sporządzony przez Adama Przytyckiego, pisarza wójtowskiego, Archiwum Państwowe w Lublinie, Akta miasta Lublina, sygn. 127, s. 529-532, tłum. S. Paulowa. [źródło:** **H. Gawarecki, S. Paulowa, M. Stankowa, *Klęski pożarów w Lublinie*, „Rocznik Lubelski” 1973, t. 16, s. 220-222.]**

Dzień ósmy maja – straszliwy i tragiczny pożar miasta Lublina i przedmieścia lubelskiego.   
W roku Pańskim 1575 w maju, w niedzielę, w samo święto ś. Stanisława biskupa, a mianowicie podczas ostatniej nocy, wybuchł pożar.

Dzień dzisiejszy upływał zwykle wśród podniosłych uroczystości organizowanych przez nasze władze miejskie i tak powinien być święcony teraz przez naszych współobywateli, gdyby radosny jego nastrój nie zmienił się na smutek i żałobę dla nas wszystkich.

Na uroczystości dzisiejsze, jak to było w zwyczaju, jako na wielkie święto poświęcone ś. Stanisławowi biskupowi, napływały do miasta tłumy mieszkańców z okolicznych wsi. Również i podczas pamiętnej nocy gościli oni w różnych jego punktach i oczekiwali w radosnym podnieceniu na obchody religijne dnia świątecznego. Także i nasi obywatele [miasta], jak przystoi, oczekiwali na trzeźwo nadchodzącego poranka.   
Kiedy goście zmęczeni podróżą, a domownicy nużącą krzątaniną zapadli w głęboki sen, wkrótce po uderzeniu godziny wpół do czwartej wybuchł ogień zmieszany z dymem ze starego drewnianego domu zwanego Kiełbaszczyński. Stał on na rogu ulicy, w okolicy kościoła Ś. Michała, tuż przy kamienicy Adama Masło. Również i wspomniany dom był jego własnością dziedziczną, po ojcu. Dzierżawiła go stale kulawa kobieta, Jadwiga. Miała ona wprawdzie męża Krzysztofa Cyrulika, ale jako kobieta kłótliwa, nie mieszkała z nim. Zajmowała się wyrobem i pieczeniem ciasta i różnego rodzaju placków, które sprzedawała na rynku.

A więc kiedy, jak mówią, ogień wydostał się na dach, przez zły i zepsuty komin, ogarnął prawie w jednej chwili cały dom, panowała bowiem wówczas niebywała susza na skutek upału. Wtedy dopiero niedbałe straże miejskie wszczęły alarm, obwieszczając wszystkim ogień krzykiem z wież na rynek i ulice miasta, przy równoczesnym biciu dzwonu ratuszowego na trwogę i jękliwym wtórze dzwonów kościelnych. Zrywają się wszyscy, mieszkańcy i przybyli w gościnę, ale zaledwie tyko pięć lub sześć osób przybiegło do pożaru. Brak wody, nie ma żadnych narzędzi do gaszenia ognia, siekier, drabin i innych. Nikt już nie myśli o walce z żywiołem. Pozostała tylko natychmiastowa ucieczka z miasta. Wszyscy, potraciwszy głowy, biegną przed siebie, wołają, krzyczą, szlochają, jak pozbawieni rozumu, a rozszalały ogień wzmaga się coraz bardziej i bardziej.

W jednej chwili ogarnął 10 lub więcej domów. Jeden potok ognia, rozlewając się z niesamowitym łoskotem i trzaskiem na boki, biegnie w kierunku Bramy Grodzkiej, drugi zbliża się szybko do łaźni miejskiej, trzeci obiema stronami dąży ku rynkowi, jeszcze inny kieruje się do wieży kościoła Ś. Michała poprzez domy i zabudowania.   
Nie uszła zagładzie wyniosła wieża kościoła Ś. Michała, pokryta miedzianą blachą z pozłacaną kulą na szczycie. Spadły z niej na skutek pożaru, rozbijając się doszczętnie, zegar i zawieszone na niej dzwony. Wreszcie ogień dotarł do wnętrza świątyni, niszcząc ławki panów rajców i ławników i wiele urządzeń wewnętrznych. Za łaską Bożą został jednak ugaszony i tam się zatrzymał. Natomiast [...] ów ogień, gdy szedł przez dachy i zabudowania, dotarł do nowo wybudowanej szkoły i pochłonął ją w mgnieniu oka. Następnie dopadł do kościoła Ś. Stanisława, który, ze względu na uroczystość jego patrona w dniu następnym, przystrojony był wspaniale drogocennymi aparatami kościelnymi, jako to kobiercami, zasłonami, girlandami, i obrócił go w perzynę.

W pierwszym rzędzie uległa zniszczeniu dzwonnica z dzwonami, stojąca przed wejściem do kościoła, zwrócona ku rynkowi miejskiemu. Samemu kościołowi pożar z tej strony nie mógł jednak zaszkodzić. Dopiero kiedy na nieszczęście ogień dotarł do drewnianych domów, które niedawno zaczęli stawiać zakonnicy przy oknach opisywanego kościoła, natychmiast przerzucił się na drewniane belki, na których wspierał się dach. Wewnątrz zniszczył najpierw chór od strony wschodniej, organy, obrazy, sklepienie, poten drugi chór i jego otoczenie tak doszczętnie, że wszystko spadło na ziemię. Uszkodził również tak bardzo trzy szczyty świątyni, że środkowy z nich runął natychmiast, drugi na trzeci dzień (ten od strony rynku), trzeci upadł ostatni, po nich.

Potem w dalszym ciągu nienasycony ogień czynił spustoszenia w różnych częściach miasta, pochłaniając kolejno, bez różnicy, wszystkie budynki, prywatne i publiczne, ratusz, kramy, domy duże i małe. A jednak dzięki łasce boskiej pośród ogólnej klęski ocalał dom Mansjonarzy, znajdujący się na cmentarzu przy kościele Ś. Michała.   
Wreszcie ogień zbliżył się do Bramy Krakowskiej, na której znajdowała się wieża kryta ozdobnie miedzianą blachą. Poniżej szczytu otoczona była jak gdyby gankiem. W nim dawniej zasiadali muzycy i dla chwały boskiej i przyjemności mieszkańców miasta wygrywali piękne pieśni na swych instrumentach.

Z bramy tej, jak mówią, za podmuchem wiatru przerzucił się ogień na chałupkę krytą słomą, położoną na gruncie szpitala [Św. Ducha] i z kolei przeszedł na przedmieście [Krakowskie], a tam, ponieważ przedmieszczanie nie posiadali żadnych zabezpieczeń od ognia, wydarzyło się to samo nieszczęście, co 18 lat temu. Na przedmieściu pożar zniszczył wszystkie niedawno zbudowane budynki, liczne stodoły i ogrodzenia, a także szpital z jego kościołem [Św. Ducha], oszczędzając zaledwie kilka domów, które spaliły się doszczętnie podczas sejmu wielkiego w 1569 roku. Ominął także kilka innych domów położonych w dolinie miejskiej, blisko murów.

Przez całą tę noc rozlegał się głośny płacz, krzyki, wycie i szczekanie psów, rżenie koni, kwik zabijanych świń i wrzaski innych zwierząt. Wielu ludzi, a zwłaszcza starych kobiet i dzieci, znalazło śmierć w płomieniach. Nie będę tu wyliczał niezliczonej ilości świń tuczonych i domowych psów, których trupy, wzdęte jak balony, walały się tu i tam po różnych placach i ulicach miasta. Całe miasto tak dokładnie opustoszało tej nocy że może pozostało w nim tylko dwóch lub trzech ludzi żywych. Wszyscy inni, jak tylko kto mógł najdalej, jeden przez drugiego uciekali z miasta, nie troszcząc się o dobytek pozostawiony na pastwę ognia. W ten właśnie sposób, jeśli można to wszystko opowiedzieć i opisać, a na pewno trudno jest wszystko wiernie odtworzyć, spłonęło razem z przedmieściami całe miasto [...].